

HALINA NOWAKOWSKA

ur. 1938; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL, Stanisław Ignaszewski, Janina Ignaszewska, rodzina Ignaszewskich, praca w Komunalnej Kasie Oszczędności, praca w Narodowym Banku Państwowym, ulica Kapucyńska 4, wybuch II wojny światowej, bombardowanie Lublina, ulica Okopowa, ulica Górna, wymiana pieniędzy, areszt przy ulicy Zielonej

Historia mojej rodziny

Moimi rodzicami był Stanisław Ignaszewski, urodzony 26 kwietnia 1897 roku i Janina Ignaszewska z domu Nowak, urodzona 24 lipca 1906 roku. Ojciec był lublinianinem, a mama pochodziła z Bychawy. Mój ojciec zmarł, mając 95 lat. Uczęszczał do szkoły podstawowej w Lublinie, potem do Szkoły Lubelskiej imienia Batorego. Mieściła się ta szkoła przy ulicy Powiatowej, obecnie to jest ulica Żołnierzy Niepodległej. To była szkoła męska, po jej ukończeniu związał się z bankowością, pracował u pana Millera w banku na ulicy Namiestnikowskiej 12, obecnie to jest Narutowicza. Później musiał przerwać pracę, dlatego że został powołany do wojska. Brał czynny udział w wojnie w 1918 roku. Był na terenach wschodnich. Po powrocie został zatrudniony w kancelarii wojskowej i w 1921 albo 1922 roku został zdemobilizowany. Zaczął pracować w Komunalnej Kasie Oszczędności, później w Banku Narodowym w Lublinie. Miał propozycję, żeby się przenieść do Warszawy, ale zrezygnował. Mama skończyła szkołę Arciszowej, która znajdowała się na rogu ulicy Narutowicza i Kapucyńskiej. W 1934 roku też zaczęła pracować w banku. Tam rodzice się poznali i pobrali. Mieszkaliśmy w banku na ulicy Kapucyńskiej 4, na drugim piętrze. Dyrektor mieszkał na pierwszym piętrze. Tam urodził się mój brat w 1934 roku, a ja się urodziłam w kwietniu 1938 roku.

Wszystko było dobrze do 1939 roku, rodzice dobrze zarabiali. I zaczęła się ta tragedia. Mama w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że jest wojna. Pracownica banku wpadła do niej, żeby uciekała z domu, bo już bomby leciały na Lublin. Wtedy mama wzięła mnie i brata i zeszła do piwnicy, bo tam większość pracowników się skryła. Najpierw na Krakowskim Przedmieściu budynki zostały zbombardowane, później

zaczęli bombardować dalsze ulice. Rzeczywiście nastąpił wybuch, wpadła bomba. Zawaliło się pół banku, przysypało nas w tej piwnicy, było czarno, ciemno, nie było światła, nie było nic. Sadzy się narobiło, ludzie byli okropnie brudni i zrozpaczeni, bo jak z tego zawaliska wyjść. Było kilku mężczyzn i wybierali ten gruz, zrobili takie wąskie wyjście. To były cegły, druty wystawały, także nie było to jakieś luksusowe wyjście. Kto mógł, to się przeciskał przez wyjście i uciekał. Mama błagała, mówiła: „Ludzie, pomóżcie mi, dwoje dzieci...”. Tam trzeba było podnieść to, wyskoczyć. Ale niestety wszyscy odeszli. Mama wypchnęła brata. Pokaleczył nogi, łokcie. Podała mnie i mówi: „Ciągnij ją, ciągnij, Daruś, ciągnij ją”. Byłam mała, nie wiedziałam, jak się poruszać w takim wąskim tunelu. W końcu mama też się przecisnęła, sukienkę porwała, łokcie pokaleczyła, i nogi, i kolana. Wyszła z tego i nie wiedziała, co ma robić, gdzie ma iść dalej. Zobaczyła, że ludzie biegną w stronę kościoła wizytkowskiego i też poszła w tamtym kierunku. Wzięła nas na ręce, bo ulica była zasypana szkłem, nie można było normalnie chodzić, i poszła do Urszulanek. Tam opatrzyli jej nogi i nam te zadarcia poopatrywali. Ludzi było bardzo dużo. Nie korzystaliśmy z budynku, tylko byliśmy w ogrodzie u zakonnicy. Tam były porozkładane koce, pierzyny, kołdry. My, dzieci siedzieliśmy w jednym miejscu, mama mówiła, żebyśmy się nie ruszali, nie chodzili nigdzie. Ona pomagała w kuchni zakonnicom gotować. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest ojciec, czy żyje, czy nie.

Ojciec nas szukał, pytał się ludzi, czy nas nie widzieli. Jeden pan mu powiedział, że owszem, ktoś mamę widział u zakonnicy. I ojciec chyba po tygodniu przyszedł i żeśmy się spotkali. Zabrał nas na ulicę Okopową, do znajomych, do państwa Kozłowskich, tam na rogu Orlej i Okopowej była ich kamienica. Przyjęli nas, ale tam już było dużo ludzi. Bo jak stała jakaś kamienica znajomych, to ci, co potracili domy, to tam szli. I myśmy też tam na podłodze spali wśród tych ludzi. Po kilku dniach na ulicy ojca spotkał pan Krzymowski z ulicy Górnej i zaproponował mieszkanie na Górnej, na parterze, dwa pokoje z kuchnią. Wygód nie było, tylko zimna woda, kuchnia węglowa, i piec. I tam żeśmy zamieszkali. Jak trochę się uspokoiły czasy, nie wiem, tydzień, dwa czy miesiąc, to ojciec odzyskał meble, które zostały na Kapucyńskiej, wysoko na drugim piętrze pod ścianami. Na pasach tam wychodzili robotnicy, nie wiem skąd ojciec ich znalazł, i spuszczały kredens, łóżka, stół duży, taki rzeźbiony, kredens rzeźbiony, stół, krzesła. Takie były meble antyki. Ojciec przewiózł je na Górna. Ale niestety, to, co było w meblach, było ukradzione, puste meble były.

Tam żeśmy mieszkali. Mama nie pracowała, tylko tata znów pracował w Komunalnej Kasie Oszczędności. Ta pierwsza kasa znajdowała się na rogu Ewangelickiej i Krakowskiego Przedmieścia, teraz tam jest sąd. W 1944 roku nastąpiła wymiana pieniędzy. Ja miałam sześć albo siedem lat. Bank został otoczony wojskiem, na każdym schodku w korytarzu stał żołnierz z karabinem. Pracownikom nie wolno było wychodzić w ogóle, ani na noc, ani nigdzie, tylko byli cały czas w banku. Moja mama

postanowiła, że będzie ojcu obiady dawać, bo nie wiedzieliśmy, co oni jedzą, jak oni śpią, nic nie było wiadomo, nie było kontaktu. Szykowałam w koszyczek jedzenie i ja szłam tam. Wojskowi mnie puszczały przy banku, ale wejść nie mogłam. Pytał się, co ja tam mam, zaglądał. „Mam jedzenie”. „A dla kogo?” „Dla pana Ignaszewskiego”. To brał ten koszyczek, ja czekałam na dole i wynosił mi pusty. Tak było cały czas. Skończyła się ta wymiana, bo tam zdaje się, z różnych pieniędzy oni chcieli zrobić jedną walutę.

Ja z ojcem dużo chodziłam, on lubił spacerować, jeździł na rowerze zawsze gdzieś poza miasto. Później przenieśli bank, na róg Staszica i Krakowskiego. Tam są w tej chwili gabinety lekarskie. Mój ojciec pracował, wszystko było dobrze. Naraz znów wymiana, chyba w 1950 roku. I znów ojciec nie przychodził do domu. Znów ja chodziłam – miałam już więcej lat, chyba dwanaście – i z koszyczkiem jedzenie mu nosiłam. Naraz idę, pozamykane wszystko, stoją żołnierze, ja idę, mówię, że chcę do taty iść. „Nie ma ojca”. Ja mówię: „Jak to nie ma?”. „No nie ma, nie ma ojca, nie ma nikogo”. Pytam się: „A gdzie tata?”. Nie chcieli mi powiedzieć. Przyszłam do domu i mówię do mamy: „Nie ma ojca” – mówię – „biura zamknięte, nie wiem, co się dzieje”. Mama poszła, dowiedziała się, że był jakiś błąd finansowy w tych rozliczeniach bankowych i wszystkich pracowników zaarrestowali, i umieścili w areszcie, w pałacu na Zielonej. Tam ojciec siedział. Też mama mu nosiła jedzenie. Chyba dziesięć dni tam byli. Przyjechała komisja z Warszawy, z Narodowego Banku, zrobili kontrolę, wszystko się zgadzało. Po prostu ludzie byli przemęczeni i zrobili błąd. Powróciło nasze życie znów do normy.

Później ojciec w zarządzie wędkarskim zaczął pracować. Pamiętam, wieczorem żeśmy byli w domu, naraz ktoś puka, przychodzi jakiś pan. Przedstawił się, że jest dyrektorem PKO i chciał rozmawiać z ojcem. Ojciec poprosił go do pokoju i jak wyszedł, ojciec mówi, że mu proponował etat w PKO, ale ojciec już nie chciał mieć nic wspólnego z pieniędzmi, podpisywać różnych rachunków i w ogóle odpowiadać za ludzi, za pracowników. Później pracował jeszcze przy budowie kanału Wieprz-Krzna i z tej instytucji odszedł na emeryturę.

Jeszcze był taki moment, już za prezydencji Lecha Wałęsy, bo wcześniej nie można było mówić, gdzie kto walczył. Wysłałam wszystkie dokumenty do MON-u, do Warszawy, że ojciec walczył w 1918 roku. Był postrzelony nawet w plecy, jakiś szrapnel czy coś go uderzył. I doszło to pismo do Lublina. Było pięciu panów w starszym wieku, około 90 lat. Żołnierze przyszli do nas, na Górną, czy może trzeba po niego przyjechać. Więc przyjechali pewnego dnia, było przyjęcie na Spadochroniarzy. Ojciec dostał medal i dokumenty z podpisem Lecha Wałęsy, że brał udział w tej wojnie. Był bardzo szczęśliwy, zadowolony, nawet chciał sobie mundur kupić i chodzić na różne uroczystości. Ale miał już ponad 90 lat i

wytłumaczyliśmy ojcu, żeby tego nie robił.

Data i miejsce nagrania	2018-05-26, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"